

Wspomnienia o. Bogumiła Stachowicza, który zamieszkiwał Kresy Południowo-Wschodnie. Urodził się i mieszkał w Łoszniowie zarówno przed wybuchem II wojny światowej jak i chwilę po niej.

„...w 1938 roku uczęszczałem do 1 klasy podstawówki. W klasie byliśmy wszyscy razem: Polacy, Rosjanie, Żydzi. Siedziałem w ławce z Żydem, chodził z nami na katechezę. Obowiązywały dwie religie: grekokatolicka - cerkiew i katolicki - kościół. Nie było wtedy jeszcze prawosławia. Na kościół nakładano „Kult zbir” czyli za każdy kwadrans Mszy Świętej większe podatki. Miałem wspaniałych rodziców i rodzeństwo. Jeden z braci był w szkole wojskowej w Jarosławiu, a drugi zaś należał do Stowarzyszenia Strzeleckiego. Wiodło nam się bardzo dobrze, chętnie pomagałem ojcu w polu, a także w pracach domowych. Kiedy wybuchła wojna 1 września 1939 roku było to coś potwornego, latały chmary samolotów, dochodziło do bombardowania punktów strategicznych. 17.09.1939 roku do naszej wioski wkroczyli Rosjanie. Wyglądali nędznie, mieli na sobie robocze, a zarazem brudne buty, nie mieli koszul. Karabiny były przyćepione na sznurku lub trzymali je w rękach. Zaczęli uświadamiać społeczeństwo, szczególnie mężczyzn, aby udawali się z numerami do instruktora tak zwanego politycznego. Mężczyźni początkowo zgłaszali się, ale później już tylko nieliczni. Rosjanie założyli kotchozy, czyli obozy, spółdzielnie gospodarczo-produkcyjne. Zmuszano niektórych do wstąpienia. Myśmy chodzili wtedy do szkoły, byłem w drugiej klasie. Cofnęli wszystkich o rok do tyłu, w szkole obowiązywał język rosyjski. W 1939 roku Sowietci głosili hasło: „Sowiet na cały świat”.

W roku 1941 wkroczyły oddziały niemieckie, z którymi współpracowała ukraińska milicja. Kiedy mój brat wyszedł z domu, został złapany przez milicję, postraszyli go, ale skończyło się, na szczęście, bezboleśnie. Po żniwach występowały bardzo silne pożary, które trudno było ugasić.

Ukraina napadała, mordowała i niszczyła wszystko co napotkali na swojej drodze. Zabierali konie, robili co im się podobało.

Przez naszą wioskę płynęła rzeka Gniezna, w której można było wyławiać małże i raki. Woda była bardzo czysta, w sam raz do kąpieli. Jednak gdy w czasie trwania wojny wyłowiono z niej 40 trupów, bałem się do niej wejść. Byłem zdruzgotany tym, co się dzieje wokół, miałem taki jakby wstręt i przerażenie, żeby się w niej zamoczyć.

W listopadzie 1942 roku opiekun naszej wioski SS-Man Szklarek łapał młodzież na wywózkę do pracy do Niemiec. Kiedy przyszedł do sąsiada, przebywało u niego dwóch mężczyzn, którzy chcąc uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec, ukryli się w sianie.

Mój kuzyn Albin Rejczak-Czarkowiec należał do Młodzieżowego batalionu, który rozbił bandę banderowską (35 osób).

Dnia 10 marca 1944 roku o godzinie 4.00 nad ranem przyjechał czołg "Suszczyń", który strzelił w kierunku Trembowli. Kiedy nie było żadnego odzewu ruszyły oddziały rosyjskie. Które zostały zbombardowane przez Niemców.

Były bardzo ciężkie czasy, trzeba było obowiązkowo oddawać Rosjanom i Niemcom kontyngenty zboża, mięsa, mleka. Było to dla wszystkich bardzo uciążliwe.

W roku 1944 jechałem z moim ojcem i bratem w pole. W lesie zatrzymali nas Rosjanie i powiedzieli: "(...)dawaj łyżec, dawaj konia". Oni dali nam w zamian marną szkapę, był to bardzo spokojny i dobry koń. Miał tylko bardzo ciężkie podkowy, które mogły uszkodzić mu nogi. Bardzo dobrze mi się na nim jeździło.

W związku z trwającą wojną i występującymi zdarzeniami jeden z braci musiał udać się na front by służyć ojczyźnie.

Dnia 8 maja 1944 roku Rosjanie powoływali mężczyzn do wojska. W tym czasie rodzice moi się rozchorowali i musiałem wszystko robić sam. Mieliśmy parę koni. Pracowałem w polu i wypełniałem obowiązki matki i ojca. Jeździłem koniem po polu, orałem je i obrabiałem. Była to bardzo ciężka i wyczerpująca praca, ale nie miałem wyboru, gdyż byłem już w takim wieku, aby pomagać rodzicom. W dzisiejszych czasach do orania pola i obrabiania wykorzystuje się traktory, pługi i tym podobne, a ja musiałem przy pomocy konia.

W wiosce była młocarnia, która młóciła gospodarzom zboże, pszenicę, jęczmień, owies, żyto i grykę. Początkowo nic nie umiałem i nie miałem wprawy, ale przy pomocy mojej kuzynki bardzo dobrze nam to szło. Miło przy tym spędzaliśmy czas.

W momencie kiedy front zbliżył się do nas, to było spokojnie, a gdy żołnierze odeszli to Ukraińcy zaczęli mordować, napadali na całe wioski. Gdy pałem krowy w lesie, to za mną strzelali, a kiedy kopłem ziemniaki (w 1944 roku) to kule gwizdały nam nad głowami. Ukraina penetrował wioski, przychodzili do domów mordowali i zabierali konie oraz przydatne rzeczy.

W kierunku Mikulic pomiędzy Krówniką a Strusiowem w lesie był magazyn broni, granatów i tym podobnych. Niemcy ukryli go tam po to, aby nikt go nie znalazł. Wielki Czwartek 1944 roku poszedłem do tego magazynu po broń, granaty i zaniósłem do domu, a następnie przekazałem ojcu, aby się tym zajął. Zabrałem je po to, aby w razie czego mieć się czym bronić.

(...) W Łoszniowie mieszkaliśmy na terenach podmokłych, wszędzie była wilgoć. Było bardzo mało drzew owocowych, jedynie rosła grusza i śliwa. Do sadów po owoce chodziliśmy pod Trembowlę. Razem z kuzynami, których nazywano „grudziaki” chętnie tam przesiadywaliśmy.

Z Kościoła Rosjanie zrobili przechowalnię zboża natomiast w zakrystii przetrzymywali różne płyny, narzędzia i tym podobne. Zapach był nie do wytrzymania, czuć go było wokół całego Kościoła.

W roku 1945 można było wyjechać z dotychczasowych miejsc zamieszkania. Ojciec podjął decyzję o wyjeździe, zabrał najcenniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy między innymi: krowę, konia, narzędzia i wyruszyliśmy. Pociągiem pojechaliśmy do Trembowli. Banderowcy obrzucali nas kamieniami, jeden z nich trafił mnie w rękę. W trakcie postoju pociągu, moja mama gotowała na poboczu (na ognisku) jakąś zupę. Kiedy ruszał, trzeba było szybko do niego wejść. Mama podała mi gorący garnek z zupą. Nie miałem jak się ruszyć, gdyż ugrzęzła mi noga, dzięki szybkiej pomocy innych ludzi udało uratować się moja stopę, która nie była aż tak spłaszczona. Od 24 do 28 czerwca mieszkałem u kuzynki. W domu była strażnica, która broniła się przed banderowcami. 28 czerwca skierowali nas na Wrocław, na stację Brochów. Mieszkaliśmy na stacji w

magazynach kolejowych. Panował tam chaos, mieszkaliśmy z wieloma rodzinami. Wszędzie różne rodzaje robaków, wszy. Doskwierał wszystkim brak chleba, mydła i proszku. Mieszkaliśmy tam przez 6 tygodni. Na początku sierpnia skierowano nas na Szczelin.

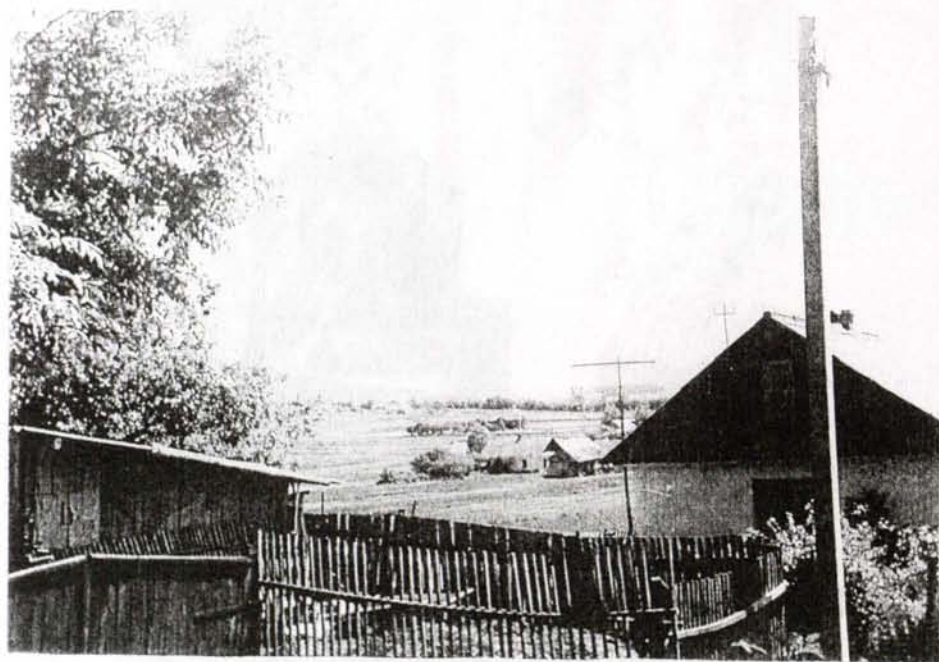
Zamieszkaliśmy na osiedlu „Gołosowice”. Budynek był bardzo uszkodzony i zniszczony. Mieszkaliśmy razem z Niemcami. Tak naprawdę jechaliśmy w nieznane, martwiąc się o własne życie. Dotychczas było bardzo trudno, wszyscy martwiliśmy się o swoje rodziny i dobytek. Żyliśmy w pełni strachu i lęku.

Po zakończeniu wojny wstawałem wcześniej rano i jeździłem na rowerze przed godziną 7.00 do szkoły. Znajdowała się ona na Górze Szczelińskiej, uczyła mnie Pani Helena Łubińska z Polesia. Moim zdaniem była ona prawdziwą patriotką, gdyż miała wielkie umiłowanie do swojego kraju i była gotowa do poświęcenia się dla niego. Pani Helena uczyła między innymi: języka polskiego, matematyki, historii. Można było przejść (zdać) dwie klasy w ciągu jednego roku szkolnego.

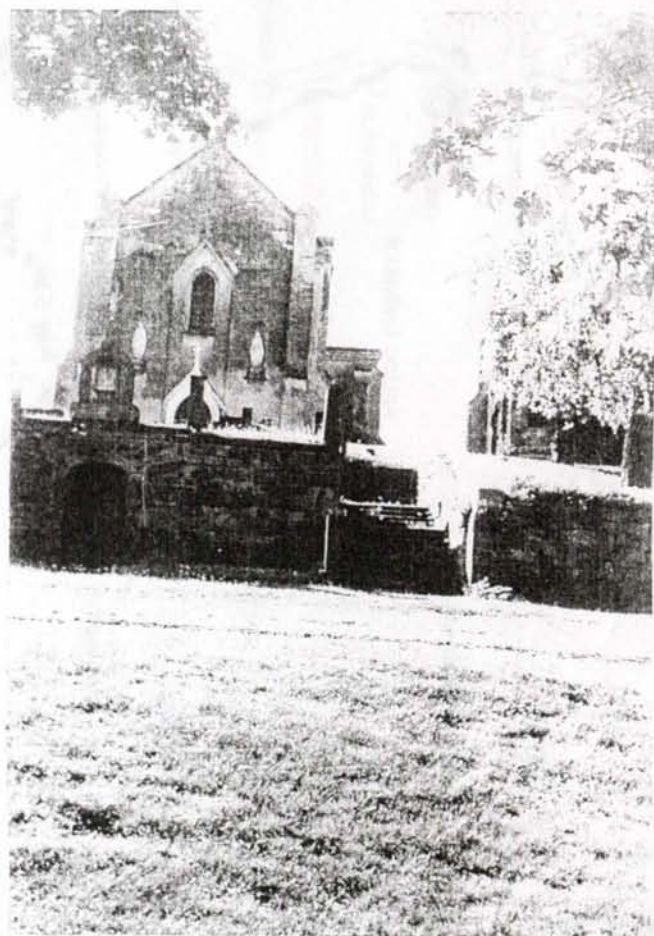
Początkowo w swoich młodzińskich marzeniach planowałem studiować handel zagraniczny, albo architekturę. Wybrałem jednak powołanie – kapłańskie. Co wpłynęło na zmianę mojej decyzji? W roku 1948 wstąpiłem do Rycerstwa Niepokalanej, a w roku 1949 17 maja przyjąłem sakrament bierzmowania, oraz praktykowałem pierwsze piątki miesiąca, a także brałem udział w odprawianiu drogi krzyżowej. Czytałem wiele książek między innymi: „Mocarz” o Św. Andrzeju Boboli, „Dwie Korony” Gustawa Morcinka o Św. Maksymilianie, a także „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza i wtedy zacząłem zastanawiać się jaką mam właściwie wybrać drogę życia. Moją decyzję upewniło pewne wydarzenie z końca kwietnia 1949 r. Wracałem z kolegami z gimnazjum w Strzelinie na rowerze do domu i zadałem pytanie: „co to jest powołanie”, teraz nie pamiętam już odpowiedzi, ale to właśnie ona pobudziła we mnie wolę wstąpienia do Zakonu Franciszka. Dowiedziałem się, że przyjmują do seminarium św. Franciszka, tak więc napisałem prośbę o przyjęcie mnie do zakonu. Otrzymałem pozytywną odpowiedź pod koniec lipca 1949r, podpisał ją Ojciec Prowincjał Wojciech Zmarz który przyjmował mnie do nowicjatu przyoblekł w habit franciszkański i nadał mi imię Bogumił, było to 30.08.1949 r. w Łagiewnikach koło Łodzi”.



Załącznik nr.1
Kościół Św. Jana Kantego,
w którym Rosjanie przechowywali
zboże i detergenty do roślin.



Załącznik nr.2
Miejscowość Łoszniów.



Załącznik nr.3
Frontowe wejście do Kościoła
Św. Jana Kantego

